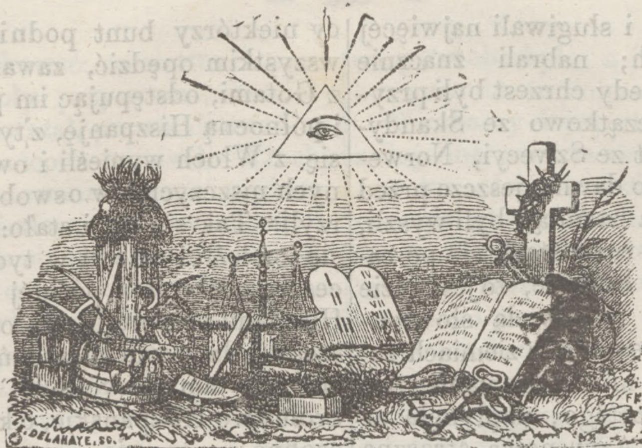
№ 45.

WARSZAWA

10 Listopada

1861.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnej

Nr 1527.

„*Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.*" (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

WŁOCHY.

IV.

—

Horda owa, której dowódzca ośmielił się pierwszy na to, żeby imperatora rzymskiego całkiem zrzucić i samemu we Włoszech królować, zowie się w kronikach *Herulami*. Herulowie ci przywędrowali, tak jak i inni, z północnych krajów, aż podobno z nad brzegów Baltyckiego morza, i tak niektórzy uczeni myślą, że to byli Litwini, a tylko ich we Włoszech inaczéj przezwano. Może to być, a może i nie. Takie było wówczas zamieszanie i zniszczenie po świecie, tyle się snuło różnych gromad zbrojnego ludu, a wszystko chciwe tylko łupieztwa: co jedni złupią, to przyjdą drudzy mocniejsi, pobiją tamtych, wytną albo w niewolę ze wszystkiém mieniem zabiorą, albo się czasem złączą i do współki rabują i pustoszą, a wszystko różne języki, których w Rzymskiém państwie mało kto rozumiał; — więc też i ci, co kroniki po łacinie wówczas pisali, sami często dobrze nie wiedzieli, jak tych niszczycielów i morderców nazywać. Przekręcali rozmaicie w pismach swoich nazwanie narodów na łaciński sposób: często w jednéj kronice ten naród tak się zwie, a w drugiéj całkiem odmiennie, tak że dziś niepodobna w wielu razach do ładu z tém trafić. A co o początkach tych narodów i o miejscach, zkąd one przyszły, w łacińskich i greckich kronikach popisano ze słyszenia i z domysłów, bo nikt tam w rzymskich krajach o tych dalekich miejscach dobrze nie wiedział; to jeszcze większe ztąd urosły baśnie i plątaniny. Tak to i owych Herulów nikt już dziś podobno nie dojdzie, co za jedni byli; dzicz była niepiśmienna i nieokrzesana; nic pożytecznego i trwałego zrobić nie umieli i żadnéj się po nich pamiątki we Włoszech nie zostało i niebawem bez śladu zniknęli. W lat bowiem kilkanaście wpadli do Włoch Gotowie: nie ci, co to sobie Hiszpanję już byli zabrali, ale ich pobratymcy.

Naród Gotów, najdzielniejszy był ze wszystkich owych północnych przychodniów: najdłużéj się oni z Rzymskiém państwem pozr

i wojowali na granicach i sługiwali najwięcéj w rzymskich wojskach; nabrali znacznie oświaty i właśnie już wtedy chrzest byli przyjęli. Pochodzili oni początkowo ze Skandynawskich krajów, to jest ze Szwecyi, Norwegii i Danii, ale już bardzo dawno, jeszcze przed Narodzeniem Chrystusa ztamtąd byli wyszli, a jako lud wojowniczy, rozpostarli się po całéj wschodnio-północnej Europie, to jest gdzie dziś Rossya i Polska, i nad wielą słowiańskiemi plemionami, które na tych ziemiach zawdy mieszkały, szerokie mieli panowanie. Ale ku końcowi wieku czwartego, napłynęła aż z po za Uralskich gór, z Azyi, nowa, straszna chmara dzikiego ludu mongolskiego, sroższego nad wszystkie inne niszczyciela: byli to *Hunny*, jak ich wtedy nazywano. Od takiéj nawały nie mogli się już Gotowie odbić; jedni poddali się pod panowanie Hunnów, drudzy unikając niewoli i śmierci, zbiegli się w wielkiéj liczbie z żonami i dziećmi i całym dobytkiem nad Dunaj, nad rzymskie granice i prosili cesarza, żeby im w państwie swojém dał schronienie. Kazał ich puścić cesarz Walens, który podówczas panował, i dać im ziemie na osady; ale niebawem zaszły spory między nimi i rzymskimi urzędnikami, z tego rabunki i rozruchy okropne, którym Walens rady dać nie mógł; aż następca jego, ów dzielny Teodozjusz, ledwie rozhukanych Gotów uśmierzył i do posłuszeństwa przywiódł. Po zgonie jego i po rozdzieleniu państwa, na Zachodnie i Wschodnie zaczęły się między jedném i drugiém niechęci i nieprzyjaźnie, a że wszystka gocka ludność rozsiedlona była głównie po dzisiejszéj Turcyi, a zatem w cesarstwie Wschodniem, więc żeby i sąsiadowi klęskę zadać i razem niespokojnych przybyszów się pozbyć, podmówiono Gotów do napaści na Włochy. Ci też radzi łupieztwa, a przykrząc sobie pracę i siedzenie na miejscu, zaczęli się hurmem przez góry Alpy do Italii wdzierać, a choć ich raz i drugi odpędzeni, to się przecież nareszcie przez niedołęztwo Zachodniego cesarza do owego pożądanego kraju dostali i splądrowali go z końca w koniec. Że przeciwko nim wojska zewsząd do Włoch ściągano, ogołociły się przez to z obrony dalekie prowincye, a czyhający na to barbarzyńcy, gorsi od Gotów okrutnicy, zewsząd cisnąć się i kraj po kraju niszczyć i zabierać zaczęli. We Francyi zaś prócz tego namiestnicy niektórzy bunt podnieśli. Nie mogąc się wszystkim opędzić, zawarł cesarz przymierze z Gotami, odstępując im południową Francyę i północną Hiszpanję, z tym obowiązkiem, aby się z Włoch wynieśli i owe prowincye od innych niszczycielów oswobodzili i bunty uśmierzyli. Tak się też i stało: Gotowie walecznie się znaleźli i osiedli w tych krajach, które im cesarz odstąpił i późniéj nawet całkiem do Hiszpanii przenieśli się; od nich też, w pomieszaniu z dawnymi mieszkańcami i Rzymianami, których tam dosyć było, pochodzi dzisiejsze królestwo Hiszpańskie, o którém kiedy indziéj osobno się opowie.

Tymczasem współziomkowie ich, co się owym dzikim Hunnom poddali, zostawszy na dawnych siedzibach nad dolnym Dunajem, musieli przez lat kilkadziesiąt pod ich panowaniem zostawać i wyprawy czynić wraz z nimi w różne strony, osobliwie zaś pod wodzą sławnego Hunnów tych króla Attyli. Ten Attyla przezwany był *Biczem Bożym*, dla szczególnego okrucieństwa i łupieztwa swego; nietylko niemieckie kraje i narody plądrował i gnębił, ale wpadał do Francyi i do Włoch nawet. Założył on sobie w Węgrzech stolicę i ztamtąd szeroko swe panowanie rozpościerał. Ale po jego śmierci, zaraz zmówiły się i powstały różne ludy i hordy, które on był zwojował, i rzuciwszy się razem na Hunnów, wycięli ich po największéj części, resztę zabrali w niewolę albo rozpędzili. Tak tedy przyszli znów i Gotowie owi do niezależności.

Kiedy więc Zachodnie Rzymskie cesarstwo upadło i barbarzyński dowódzca królestwo Włoskie założył, był to już przykład i jakby droga dla innych. Cesarz Wschodni sam zachęcił Gockiego króla Teodoryka, żeby Herulów i inną zbieraninę z Włoch wypędził i sam się w tym kraju osiedlił. Wolał cesarz we Włoszech Gotów, jako okrzesańszych i więcéj ludzkości mających, a przytém i na to liczył, żeby się barbarzyńcy wzajem tępili, to będzie jego państwo bezpieczniejsze. Gotowie prędko się ułatwili: opanowali całe Włochy aż do granic Francyi, a prócz tego i kraje na północ od Alp, to jest południowe Niemcy zhołdowali. Państwo Teodoryka było obszerne i rządy jego w Italii wcale rozumne i sprawiedliwe. Zabrał wprawdzie dla swoich Gotów trzecią część wszystkich gruntów, ale zresztą starał

się wszystko porządkować: rolnictwo i przemysł podnosił, szkoły przywracał, kościoły i duchowieństwo poważał, prawa dawne i sądy rzymskie mieszkańcom zostawił. Włochy odetchnęły pod panowaniem tego mądrego króla; ale po jego śmierci okropne znów nastały czasy: wszczęło się poróżnienie w królewskiéj rodzinie, z czego korzystając cesarz Wschodni, postanowił Italię do państwa swego przywrócić. Opanowawszy nasamprzód wyspę Sycylię, zaczęli cesarscy generałowie Gotów wypędzać; sprawa jednak była nie łatwa, jako z nieprzyjacielem mężnym. Lat blizko dwudzieścia trwała ta wojna, zanim Gotów całkiem pobito i prawie że wyniszczono, że się ich mało co przez Alpy do Francyi i Hiszpanii dostało. Ale że się zacięcie bronili i Franków okrutnych na pomoc przyzywali, że korzystając z zamieszania i inne rozbójnicze bandy z Niemiec do Italii wpadały, więc straszliwie kraj od téj wojny ucierpiał, więcéj niż od wszystkich dawniejszych. Ludu wyginęło co niemiara; wszystkie niemal miasta z rąk do rąk przechodząc, rabowane były i palone; mnóstwo pięknych i wielkich budowli zniszczało; zwaliska stare, których dotąd wiele jest we Włoszech i którym się ludzie dziwują, to ponajwiększéj części z tych czasów. Słowem rzec można, że do owéj wojny jeszcze starożytna Italia, pomimo różne klęski, zachowała dawną rzymską wspaniałość, zagospodarowanie i bogactwo; ale od tego czasu tak wszystko upadło i spustoszało, że trzeba było wieki pracować, żeby się kraj znowu mógł podnieść.

Opowiadanie panienki.

II.

—

Marek najstarszy w całéj wsi, ten co to był z legionami w Hiszpanii, mieszkał w chacie na samym końcu wsi z wnuczką, szesnastoletnią dziewczyną. Panienka lubiła z nim rozmawiać i czasem jak w niedzielę po południu do niego zaszła, tak i parę godzin przesiedziała. Prawda, że nieraz i półgodziny i godzina zeszła, nim się stary rozgadał, bo zawsze był jakiś czy smutny, czy frasobliwy, że wtedy tylko już słowo przemówił, jak mu konieczniepotrzeba było; a jak tylko się mógł obejść bez gadania, to milczał jak kamień.

W roboczy dzień, choć już w późnym wieku, z niejedną raną na ciele, pracował od świtu do zmroku. Jak się pochylił na zagonie, to nie podniósł głowy aż mu Marysia, wnuczka, śniadanie albo podwieczorek przyniosła; wtedy zjadał w milczeniu, oddawał dwojaki i znów za sierp i na zagon. Przy młócce jak ujął cepy, tak bez żadnego przestanku równiusieńko na słomę spadały, że się najgłośniéj na klepisku rozlegalo; jak szedł za pługiem, to już czy taką rękę miał wprawną, czy takie szczęście, dość że woły szły mu zawsze prosto, równo, że prawie i poganiać nie potrzebował, ani wołał jak drudzy: „akse! aksa!“ ani wymyślal na nieme i niewinne bydlęta, ale szedł wolno, cicho, z głową spuszczoną, a wpatrywał się w oderznięte skiby czarnéj ziemi.

W niedzielę zaś albo święto jak przyszedł z kościoła, gdzie zawsze być musiał, czy pioruny biły, czy śnieg walił, czy mróz ściskał, czy śpieka dojęła, zjadał obiad i siadał na kamieniu przed chatą, zimą zaś na ławie w chacie oparłszy obiedwie ręce na kolanach, a głowę zwiesiwszy na ręce, przesiadywał tak nieraz do wieczora. W koło niego ludzie roili się, gadali, śmiali, a on niewiadomo czy słuchał, czy nie słuchał. A chyba musiał i słuchać, bo jak kto co niepoczciwego albo głupiego powiedział, to podniósł głowę, popatrzał na tego, co się z niepoczciwością albo głupstwem wyrwał, a popatrzał tak, że aż trzeba było oczy spuścić; splunął, a po wąsach co się ruszały znać było, że coś szeptał, potem znowu głowę zwiesił i siedział jak wprzódy, niby głuchy i niemy. I tak się jakoś powoli ludzie nazwyczaili, że gdzie on był, to już poważnie i pięknie szła rozmowa, bez nieuczciwych żartow, bez klątw i kłótni.

Czasem, czasem tylko się rozgadał o dawnych czasach, o dawnych wojnach, o dalekich krajach; ale odkąd panicz gdzieś tam się zapodział, odkąd pan umarł, to posmutniał bardziéj jeszcze, rzadziéj się odzywał, i więcéj milczał.

Dopiero jak panienka przyjechała, jak zaczęła mu przypominać, kiedy oboje ze starszym bratem jeszcze dziećmi byli, jak paniczowi strugał szabelki, jak się panicz zawsze do niego wykradał, a godzinami jego opowiadań

słuchał, jak zaczęła zachodzić do jego chaty, a zawsze z takiém poszanowaniem była dla niego, jakby dla rodzonego ojca, tak się znów stary rozweselił, rozruszał, i z panienką już zawsze miał o czém mówić. Ale panience na tém jeszcze nie dosyć było, panienka chciała, żeby Marek i z gromadą częściéj się rozgadywał, bo panienka wiedziała, że w siwéj głowie Marka rozum mieszkał, bo wiedziała, że w sercu jego było kochanie dla ludzi, że oczy jego dużo widziały, uszy po świecie słyszały, i wiedziała, że żeby tylko Marek wypowiedzieć chciał, choćby trochę z tego co miał w sercu i w głowie, toby z tego gadania nieraz była większa niż z książki nauka.

Pewnego razu po kościele Marek przyszedł do panienki, bo mu powiedziała, że pokaże mu obrazek, który go ucieszy. Wziął na siebie sukmanę nową, którą sprawił po żniwach, pas czerwony na nią, i czapkę wysoką z barankiem. Kołnierz biały od koszuli odbijał na ciemnéj sukmanie, i było na co spojrzeć jak szedł wyprostowany, i włos siwy na ramiona mu spadał.

Dużo ludzi naschodziło się do panienki, Franuśka przyszła się poradzić o dziecko, przyniosła je z sobą i przyprowadziła starszą dziewczynkę Magdusię, bo dziewuchy strasznie lubiły chodzić do panienki. Koźlina przyszła prosić panienkę w kumy do swojéj synowéj, któréj Bóg dał chłopaka. Maślaczka zapłakana przyszła prosić o trochę kwiatów do trumienki dla swego Jasia, co jéj umarł dziś rano. Przyszło kilku chłopaków po pawie piórka, co je im panienka obiecała, kilka dziewuch po wstążki, kilkoro dzieci po gałganki, dość, że się roiło i mieniło ludzi na łące między wiśnią, w koło panienki co siedziała na ławie z darniny pod najgrubszą wiśnią.

Jak panienka zdaleka zobaczyła Marka, ucieszyła się serdecznie, pobiegła ku niemu, położyła mu rękę na ramieniu i popatrzyła w oczy.

— A przecie, przecie, żeście do mnie zajrzeli, już mi trzecią niedzielę obiecujecie przyjść, a nigdy słowa nie dotrzymujecie, na starego żołnierza to nieładnie.

— To też że stary, to mu już nie do ludzi moja panienko. Człowiekowi nieraz się widzi, że jak umarły snuje się między ludźmi i mówi sobie: tobie trupie już zc świata ukłaść się w ziemi, a nie łazić gdzie żywi ludzie śmieją się, bawią i gadają. Na co im przeszkadzać?

— Komuż to mój Marku przeszkadzacie? Czekajcie, przyniosę wam coś, co was choć trochę rozweseli. Siądźcie sobie oto tu na ławie i zaczekajcie na mnie.

Usiadł Marek jak zawsze z rękami wspartemi na kolanach, tylko że jakoś tym razem zamiast po zwyczaju zwiesić głowę i patrzeć w ziemię, podniósł ją do góry i patrzał w jasne niebo i w obłoki, co spokojnie ciągnęły nad jego siwą głową. Panienka wnet przybiegła, trzymała w ręku obrazek i pokazała go Markowi.

Na obrazku był jakiś podeszły już dosyć człowiek, co siedział na koniu, koń wyraźnie niby rwał się gdzieś wpędzie, a ów co na nim siedział wstrzymywał cugle prawą ręką, a drugą uchylał czapeczki i coś gadał z dwoma drugimi ludźmi po wojskowemu suto przybranymi. Choć tamci byli młodzi i strojni, a ten już dobrze szpakowaty i w prostéj czamarze, to jakoś oczów oderwać od niego nie można było: taka ta twarz była poczciwa, serdeczna, a mina tęga, tak oczy patrzały ostro i zarazem dobrotliwie, tak dziarsko cała postać trzymała się na koniu, tak lekko i zgrabnie owa ręka zebrała cugle ognistemu rumakowi, co się rwał naprzód.

Marek wlepił oczy w ów obrazek, w ową twarz jeźdźca.

— A co! a co! zawołała panienka, uklęknąwszy za nim na ławie.

— I ten już nie z tego świata, szepnął Marek i łzy mu się po twarzy puściły.

— Darować wam ten obrazek?

— A mnie na co? Ja wszystko co mam już niedługo zostawię, a z nim się i tak zobaczę, niech panienka obrazek schowa sobie.

Panienka widząc, że się Marek znów po swojemu zamyślił, zostawiła go na ławce, a sama na boku z kobietami długo coś rozprawiała. Po chwili jednak zbliżyła się znów do starego i rzekła:

— Mój Marku rozsądźcie wy tę sprawę. Ja tu perswaduję kobietom, że trzeba, aby się ich dzieci uczyły, że umyślnie na tę naukę kazałam przyszykować izbę po drugiéj stronie dworku, żeby teraz z jesienią, kiedy mniéj roboty, co dzień wieczorem przysyłały mi dzieci, a one powiadają, że nauka nie dla chłop-

skich dzieci, że chłopu patrzeć pługa i sierpa, a nie książki i pióra.

— A bo to się panience będzie chciało z niemi męczyć? odezwał się Walek. A bo to panienka sobie co poradzi z temi głąbami? to kapuściane głowy, gdzie im tam do nauki!

Na to Marek spojrzał mu prosto w oczy. Walek zaraz poznał, że musiał co głupiego powiedzieć, bo duchem spuścił swoje; a kiedy do tego Marek splunął i najeżył wąsów, Walek wykręcił się i schował za drzewo.

— Słuchaj no Walku, zawołał Marek, czy to Pan Bóg Wszechmogący i sprawiedliwy stworzył u ludzi jedne głowy ludzkie, a drugie kapuściane? Czy to jednym przy urodzeniu wsadził w głowę rozum i myślenie, a drugie na głąby przeznaczył? Jest też to rozum aby za grosz w tém co ty gadzsz? Weźże ty dwa zagony ziemi na jednéj roli, jeden uprawiaj, zaorz, ugnój, zasiej, drugi zostaw odłogiem, zkądże to pójdzie, że w jednym wyrośnie ci bujna pszenica, na drugim chwasty i zielska. Toć to z człowiekiem toż samo co z rolą. Zaniedbaj najlepszą, a rodzić przestanie, weź się do najgorszéj, a jaki taki zbiór wyda. Michałka i wszystkich waszych dzieci głowy, to jak rola nieuprawna. Panienki nauka to będzie jak uprawa i zasiew. Sprobujcież téj nauki, dajcie tę rolę pod uprawę i zasiew, jak się i wtedy na niéj nie przyjmie, to dopiero powiecie, że rola zła, a nie teraz, kiedyście jéj gatunku nie popróbowali.

— Ja tam nie od tego, odezwała się Matuśka, niechby się dzieci uczyły, kiedy panienka chce tam z niemi się męczyć, ale to w chałupie zawsze potrzebne, czy młodsze zabawić, czy ogień rozpalić, czy krowy przygnać, bo człowiekowi ciężko dać sobie samemu radę.

— A od czegoż matką jesteście, odezwał się Marek, jeżeli nie od tego, żebyście dobra dzieci patrzeli, choćby dla tego dobra i frasunku i pracy użyć potrzeba. Jakże myślicie, nauka będzie z dobrem czy ze złem waszych dzieci?

— Jużci chyba z dobrem, zawsze lepiéj że będą umiały Pana Boga pochwalić, że się nie jednego dowiedzą z takich książek, co je panienka czytuje, a nam potém śliczne historyjki opowiadać będą.

— A no, to kiedy wierzycie, że z dobrem, to czego się wzdrygać, czego wyszukiwać to i owo. Jak ojciec albo matka wie, że co z dobrem dla dziecka, toć powinna i gębie odjąć i nocy niedospać i choćby frasunku użyć, a to dobre zdobyć dla niego, a cóż dopiero odpychać, kiedy samo się nadarza. Wyżywić i odziać dziecko swoje to i zwierzę potrafi i wilczyca swoje szczenie wykarmi i kokosz swoje kurczęta skrzydłami ogrzeje, ale w ludzkiém sercu powinna być jeszcze inna miłość dla potomstwa. Człowiekowi jak Bóg da dziecię, to na to, żeby je na chwałę Jego wychował, żeby obmyślał wszystko, co mu na dobre wyjść może. Nie marudźcie więc, głupiemi wymówkami nie zbywajcie, a kiedy panienka chce dać waszym dzieciom naukę, to je po naukę przysyłajcie nie zwlekając.

— No jakże, będziecie przysyłać od jutra?

— Ha, ja się tam nie sprzeciwiam!

— Ani ja, ani ja, odezwało się kilka głosów.

— No pamiętajcie, że od jutra czekam z wieczora.

Pewnie tam po wsi było gadania niemało o téj nauce dzieci. Nie jeden tam gadał o tém, że to ni w pięć ni w dziewięć. Ale jak Marek zgromił, jak Józef swoje dołożył, jak się jakoś powoli przekonali, zaczęli posyłać dzieci do panienki. Wzięła się też panienka do uprawy téj roli, jak Marek powiedział, a do następnéj wiosny piękne rola ta wydała plony, bo najpilniejsze dzieci gładko już umiały czytać, a znały już i katechizm i wiele ciekawych rzeczy się dowiedziały, co ich i ojcowie nieraz chętnie słuchali.

Miło też było patrzyć rodzicom, jak w niedziele i święta dzieci ich z książkami szły do kościoła, a panienka nieraz kazawszy im czytać przy starszych, mówiła śmiejąc się:

— A co, czy głąby chłopskie dzieci? Straszne dziwo że nie umiały nic, jak się nie uczyły, widzicie że teraz umieją i że miał racyę Marek kiedy mówił, że rola to wyda, co na niéj zasiejesz.

Okolice Krakowa.

KOPALNIE SOLI W WIELICZCE.

(Dokończenie.)

Robotnicy w kopalni pracują codziennie w liczbie około 1200, przy świetle kagańców przez 8 godzin, który to przeciąg czasu, po-

dług wyrażenia górniczego, nazywa się szychtą. Robotnicy z powodu mocnego gorąca zwykle są na pół nago, doglądani ciągle przez dozorców, aby nie próżnowali. Urzędnik zwany sztygarem (jakich się trzech znajduje), rozporządza roboty; warcabny i senior są mu dodani do pomocy.

Sól odrywają sztukami zwanemi ławy lub kłapcie, za pomocą kilofów, albo wysadzają za pomocą prochu i wykuwają w bryły duże pod miarę, zwane bałwanami, albo w kawałki mniejsze 1 do 2 centnarów ważące, albo też w bryły beczułkowate; okruchy drobne pakują do beczek, zwanych solówkami i półsolówkami. Gdy się już znaczne zapasy soli zbiorą, wyprowadzają takową na wierzch za pomocą kieratów, ważą i zapisują starannie w rejestr. Sprzedaż odbywa się w kancellaryi, gdzie dają kupującemu assygnacyę z wyznaczeniem ilości soli i szybu, z którego ją ma odebrać. Ilość soli rocznie wydobywanéj, dawniéj wynosząca najwięcéj 600,000 centarów, teraz przeszło w dwójnasób się podniosła.

Co do rozległości kopalni pewnego nic powiedzieć nie można, gdyż wymiar salin nikomu z obcych nie jest dozwolonym. Za czasów księstwa Warszawskiego wynosiła długość 1500, a szerokość 600 sążni i teraz nie o wiele musi być obszerniejszą, gdyż idą w głąb z robotami.

Mało jest miejsc na kuli ziemskiéj, gdzieby kopalnie głębiéj sięgały jak tutaj, dochodzą już bowiem przeszło 1000 stóp. Aż do roku 1724 istniała w Wieliczce warzelnia soli, która obfitym plonem się opłacała, teraz jednakże, przy przerzedzeniu lasów i wynikłym ztąd niedostatku drzewa, zaprzestano téj roboty, i wodę słoną wyciągniętą z kopalni używają tylko dla bydła, na kąpiele, albo jako środek użyzniający ziemię. W kopalniach ciepło jest zawsze jednostajne, łagodne; nie zdarzają się podobnie jak w innych kopalniach przypadki zepsucia powietrza, ponieważ korytarze obszerne dozwalają mu się odświeżać, wszędzie sucho, gdzie niegdzie tylko woda spływa rynnami, umyślnie w tym celu założonemi.

Do obejrzenia części kopalni, zasługującéj na zwiedzenie, którą gościom pokazują, potrzeba 5 do 6 godzin, do obejścia całéj kopalni, zwiedzając po kilka godzin codziennie, potrzebaby kilkanaście tygodni czasu, jak tamtejszy sztygar utrzymywał.

Po wyjściu z salin, zwiedzający kopalnie w kancellaryi składają koszule i zapisują swoje nazwiska w księgę umyślnie na ten cel przeznaczoną, tutaj też robotnicy sprzedają wyroby z soli przezroczystéj, krzyżyki, armatki, stołeczki, i t. p.

Wiadomy jest każdemu cel, na jaki się sól używa, to jest jako najważniejsza prawie przyprawa do pokarmów; soli téj w Wieliczce znajdują się różne odmiany i tak: najwyżéj leży sól zwana zieloną od koloru, nie zupełnie czysta, grubo ziarnista, tworząca ogromne bryły; głębiéj jest już sól czyściejsza, nazwana solą spiżową, grubo ziarnista; najniżéj sól szybikowa drobno ziarnista, biała zupełnie; odmiany najczyściejsze, przezroczyste zupełnie, noszą nazwę soli oczkowéj. Pojedyncze pokłady soli są przedzielone iłem, piaskiem, i nie leżą równo, lecz miejscami są jakby powzdymane. Oprócz tych, jest jeszcze sól, na pozór wyglądająca jakby była z włókien złożona, nosząca nazwę szpaku; ta do pokarmów nie bywa używaną, tylko dla bydła. Na słupach drewnianych osadza się tak zwana sól wykwitła, w postaci kędziorków wełny, a na ścianach w postaci kulek białych; na podporach drewnianych, rynnach, poręczach, równie sól osiada w kryształkach przezroczystych, w miejscach zaś, gdzie przecieka woda solą przejęta, tworzą się sople.

Oprócz soli, znajdują się niekiedy i inne minerały: tak zwany anhydryt (rodzaj gipsu) ił czyli glinka, margle. Skamieniałości są też dość liczne, szczególniéj szyszki skamieniałe i pewne rodzaje orzeszków, czasem i muszelki drobne.

Po za Wieliczką rozpoczyna się pasmo górzyste, ciągnące się daléj ku zachodowi aż ku Swoszowicom; o ćwierć mili leżą wsie Siercza i Sygnaczów, gdzie są łomy piaskowca, używanego do budowli; daléj zaś ku Swoszowicom leży góra zwana Złotuchą, cała pokryta piaskiem, w którym jest dużo skorup ostryg, w morzu się znajdujących.

Wspomnienia miast.

SANDOMIERZ.

—

Piękne miasto nad Wisłą, stare i nie jedném wydarzeniem pamiętne. Z tych jedno szczególniéj do dziś dnia wspominają. Był wtedy królem w Polsce Bolesław, co go Wstydliwym nazywano, a królową była Śta Kunegunda z kraju Węgierskiego, ta co soli kopalnie w Bochni i w Wieliczce, niedaleko Krakowa, odkryła. Wtedy to z dalekiego wschodu na chrześcijańskie kraje waliła się dzicz pogańska. Naród Tatarów straszny, okrutny, nie mający nic świętego, dążył z Azyi ku katolickim krajom, paląc, rabując i opowiadając, że cały świat, jest mu na pastwę przeznaczony. A takie téj dziczy, czarnéj, kudłatéj, zapamiętałéj było mnóstwo, że jak zaległa wszystkie drogi i gościńce, to od skrzypu wozów, od rżenia koni, słowa ludzkiego dosłyszeć nie można było. Dotychczas ta droga, którą od Rusi szli w głąb Polski, nazywa się Czarnym szlakiem albo szlakiem Batu-Chana, bo wodzów swoich nazywali chanami, a najstraszniejszy z wodzów był ów Baty, co ich na mord w Polsce prowadził. Już za sobą nie mało wsi popalonych i miast rozsypanych w gruzy zostawili, kiedy ku Sandomierzowi, co był wtedy ludném i bogatém miastem, skierowali się. Kto mógł ratował życie, a dobytek i majętność rzuciwszy, chronił się w dalsze strony. I nim doszli jeszcze, już całe miasto. jakby ludzie wymarli, stało się puste i głuche. A był w Sandomierzu klasztor księży Dominikanów, których przeorem był błogosławiony Sadoch. W pustém mieście oni jedni zostali, czekając w klasztorze swoim wyroku bożego. W głuchém milczeniu, co było na około, rozlegały się tylko ich śpiewy pobożne. Jednéj soboty zgromadziło się na jutrznię 49 zakonnikow z przeorem. Najmłodszy intonował z książki pieśń zwyczajną, aż tu raptem literny znikły, a ognistemi głoskami wypisało się na książce: „Dziś wieczorem męczeństwo Sadocha i jego 49 zakonników.“ Na to błogosławiony Sadoch: „Bądź wola Twoja Panie! Kiedy nas Bóg na męczeństwo przeznacza, gotujmy się spełnić wolę Jego, krew niewinnie przelana przemawia do Boga, może przemówi i nasza, i wyprosi zmiłowanie nad nieszczęśliwym narodem naszym. Pojednajmy się wszyscy między sobą, niech każdy odpuści drugiemu, jeżeli ma żal jaki na sercu, spowiadajmy się jedni przed drugimi, przyjmijmy Sakramenta święte i czekajmy mężnie, aż się spełni co Bóg oznajmić nam raczył.“ Usłuchali zakonnicy przełożonego swego, gotowali się na śmierć dzień cały, a kiedy przyszła godzina nieszporów, wyszli wszyscy w podwórze klasztoru, klękli na kamieniach i rozpoczęli zwyczajne nabożeństwo pieśnią: „Zawitaj Królowa!“ W tem, rozległ się dziki okrzyk tatarski. Oddział ich wpadł na podwórze klasztorne, rzucił się na modlących, spadły od toporów głowy 50 męczenników, krew spłynęła po ich białych dominikańskich sukniach i po kamieniach podwórza, i głos téj krwi niewinnéj poszedł w niebo, wraz z głosem konającéj pieśni. Powieść o tém męczeństwie została na ziemi.

POD BOREM.

—

Pod borem, pod borem,
Ochocze i hoże,
Bydełko się pasie
Na czarnym ugorze.

Pastuszkowie mali,
Pyrki (*) sobie pieką,
Długie, sine dymy,
Od boru się wleką.

Błoniem się rozlega,
Wiatr co liść porusza,
Chrupanie bydełka,
Rozmowa pastusza:

— Nie długo, nie długo,
Poczernieje rola,
Święty Marcin z nieba
Przyjedzie na pola.

Na białym koniku,
Z oszroniałą grzywą,
W szarym długim płaszczu,
Z długą brodą siwą.

(*) Pyrkami nazywają w Wielkopolsce kartofle, które w Krakowskiem nazywają ziemniaki.

Kruki zakrakają
I gawron srokaty,
A on spędzać będzie
Bydełko do chaty.

I pospędza wszystko,
Co jest na ugorze,
Z krówkami pastuszków
Ziębnących na dworze.

My wtenczas na ziemi,
W chacie przy kominie,
Siądziemy szykować
Kolędę dziecinie.

Téj onéj ubogiéj,
Co leży w stajence,
Naguśko we żłobku,
Przy świętéj panience.

— A to ja tę świętą
Poproszę matulę,
Niech włoży mu ze mnie
Świąteczną koszulę.

— A ja mu uplotę
Kapelusz słomiany,
Czerwoną tasiemką
Ślicznie opasany.

— A ja mu fujarkę
Wystrugam, obrobię,
Cztery w niéj dziureczki
Kozikiem wyżłobię.

Cztery dziurki będą,
Od czterech stron świata,
Niechaj się jéj granie
Szeroko rozlata.

Niechaj sobie na niéj
Dziecina wygrywa,
Zbłąkane owieczki
Do siebie zwoływa...

— O, wicher od lasu,
Coś rzuca liściami,
I śnieżek na pola
Upada płatkami.

Kruki, wrony lecą
Z gawronem na przedzie,
To pewno za niemi,
Święty Marcin jedzie.

Anioł Pański słychać,
Zmrok się rozpościera,
Bydełko poryka,
I na nas spoziera.

Rozrzucić ognisko,
Podzielić co komu,
To tobie, to tobie,
I daléj do domu.

I idą powolnie,
Bydełko spędzają,
Anioł Pański słychać,
A oni śpiewają.

— O bądź pozdrowiona,
O bądź uwielbiona,
Maryjo!
Pasterko pastuszków,
Twych ubogich służków,
Królowo!

Kochaj nasze pola,
Strzeż je od kąkola,
O Pani!
Przytul nas do siebie,
Osłoń nas w potrzebie,
O Matko!

Różności.

Na Ukrainie, we wsi Kupiewatoj, ks. Wyszyński założył szkółkę elementarną, w któréj jest już przeszło 40 uczniów. W tejże gubernii, w Kazarowicach, ks. Pasiński na wspólkę z właścicielem p. Mickiewiczem, w Mikulicach ks. Szereniutyński, w Antonówce ks. Sikorski, a w Suszkowym Rogu brat jego, pozakładali szkoły, które dobroczynne skutki oświaty rozszerzą na całą okolicę. Oby przykład ich znalazł jak najwięcéj naśladowców!

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90—kwartalnie kop. 45—miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie
Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra.— Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.— Warszawa dnia 10 listopada 1861 roku.